

## Humbug historyczny

Listopad, *Romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku*, reż. Tomasz Węgorzewski, Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie



**JULIUSZ TYSZKA**

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany. Teatrolog.

AA



fol. Dawid Stube

**Sala jest pełna, sami licealiści, jakimś dziwnym trafem główne płci męskiej. Przeważa szarość, choć jest kilka kolorowych koszul. Dwie minuty po godzinie 10.00 na sali lekko zniecierplwienie. Zaczyna się!**

Na czerwoną kurtynę rzucone są niewyraźne białe obrazy. Kurtyna się podnosi, na słabo oświetlonej scenie widać wielki „słonecznik” („słońce”?) z przerośniętymi, długimi „kwiatami”, czyli pomalowanymi na żółto deskami, oraz małym czarnym jądrem. Na środku sceny stoi szezlong, po jego prawej stronie mamy nowoczesny stolik na metalowych nóżkach, na nim spoczywa wielka maszyna do pisania. Snują się dymy. Białawe obrazy i refleksy światła ciągle intrygują, tym razem „ekranem” nie jest kurtyna, lecz ów wielki „słonecznik-słońce” z tyłu sceny.

Światła przestają migać. Długo to wszystko trwa, na widowni słychać niecierpliwe pokasywania i coraz głośniejsze szepty.

Pierwsza scena, słabo słychać dialog. Króla gra leżąca na szezlongu kobieta (Joanna Żurawska-Federowicz), obok której siedzi na tymże szezlongu lekarz, też kobieta (Maria Magdalena Kozłowska). Król zdejmuje z siebie cudzoziemski kostium, pozostając w cielistym, błyszczącym trykocie na całe ciało. Medyk ustawia nad brzuchem i podbrzuszem Króla coś w rodzaju owalnie zwiniętego parawanu (zasłony wykorzystywanej podczas operacji medycznych?) i zaczyna wyciągać stamtąd (twierdzi, że to z ciała króla!) różne przedmioty. Pierwszym jest zakrwawiony kołtun – zwitek włosów. Król snuje wspomnienia z masakry przeżytej w dzieciństwie. Potem może opowieść o podróży. Lekarz znowu sięga pod zasłonę, do „brzucha” Króla i wydobywa kamień. Ostatnim przedmiotem stamtąd wyciągnięty jest coś na kształt modelu planety Saturn z wieńcem pierścieni. „Saturn” pnie się do góry po linie, jest przez lekarza nazywany „jabłkiem królewskim”.

Środek „słonecznika” rozświetla się na niebiesko – czyżby tam było jakieś niebo?

Wchodzi Michał (Maciej Hązła), na jego białej koszuli widać wiele plam krwi. Zasuwa się odsłonięta niedawno czerwona kurtyna, znowu padają na nią jakieś białawe błyski. Na scenie pojawia się mniszka.

Nie usiłuję tu opisać jakiejś współczesnej próbkii „teatru czystej formy” albo – jak by to ujął Witkacy – „mózgu wariata na scenie”, lecz zbiór moich obserwacji z pierwszych scen spektaklu *Listopad* wedle adaptacji powieści Henryka Rzewuskiego w gnieźnieńskim Teatrze im. Fredry (nadany temu przedstawieniu podtytuł brzmi wymownie: *Romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku*).

Tymczasem na widowni rozlegają się coraz śmielej szepty i półgłosy – tempo kiepskie, nie wiadomo, o co chodzi, więc licealiści przejmują inicjatywę. Nauczycielki, póki co, nie interweniują.

Po lewej stronie sceny, na „posłaniu z mchu” mości się Ojciec (Wojciech Kalinowski), który będzie długo umierał, porzdkując niemrawo swoje ziemskie zaszczości. Trwa narada rodzinna, co robić po jego śmierci. Ciemny środek „słonecznika” tymczasem wciąga snujących się po scenie dym. W dialogu mamy wstawki prywatne, aktorzy mówią coś „od siebie”.

Znaczące jest muzyczne tło, które rytmicznie wspomaga ślamazarną akcję. Basowe, głębokie dźwięki, które teraz słychać, dodają scenicznym sytuacjom powagi. Później dojdą jeszcze jakieś pogłosy, szepty... Muzyka w tym spektaklu fascynuje, budując umiędzynę nastrój tajemniczości, czyniąc sceniczne impresje reżysera Tomasza Węgorzewskiego nieco bardziej sensownymi, niż na to zasługują.

Tymczasem po zakończeniu włokącej się w nieskończoność sceny śmierci Ojca aktorzy już całkiem „prywatnieją”, a pracownicy techniczni wnoszą mech i roślinność, na których umierający spoczywał, dając widzom wgląd w sztuczność teatralnych dekoracji. Stolik z metalowymi nóżkami ląduje z lewej strony. Joanna Żurawska-Federowicz, która teraz gra Kasztelanową, zwraca się bezpośrednio do widzów, zapowiadając stypę-ucztę. Na widowni rozluźnienie i lekki gwar. Sceniczny szepet jednej z nauczycielek: „To nie jest przerwa!”. No niestety, zwrócenie się bezpośrednio do widzów było w tej sytuacji błędem. Zachęcono ich do aktywności, teraz trudno jest tę młodzież uspokoić, zwłaszcza że ze sceny nuda wieje smętnie i ponuro.

Tymczasem na tejsze scenie, przy wciśniętym częściowo za „słonecznik-słońce” stoliku mamy szczegółowe i smakowite omawianie iście barokowej szlacheckiej ucztę. Tłem dźwiękowym dla stypy jest lekka muzyka jazzująca, która sobie cicho rozbrzmiewa, dodając lekkości przyciężkawej konwersacji. (Aha, po podłodze znów snuje się dym). Kasztelanowa, która zaprosiła widzów na stypę-ucztę, wiedzie prym w konwersacji. Aktorki i aktorzy ubrani są w prywatne, „cywilne” ubrania.

Dyskusja przy stole skreca na encyklopedystów, z którymi miał do czynienia we Francji brat Michała, Ludwik (Karol Kubasiewicz). Kolejny temat: więzy krwi.

Czyli jesteśmy już gdzieś blisko podstawowego konfliktu między dwoma braćmi Strawińskimi, który napędza akcję powieści Henryka Rzewuskiego. Konfliktu bardzo istotnego z punktu widzenia naszych dzisiejszych sporów o to, czy modernizować Polskę, przystosowywać się do europejskich wzorców, czy „wstawać z kolan”, kultywując lokalne normy i obyczaje bez czołobitości oraz poczucia niższości wobec ponoć obcych nam w gruncie rzeczy zachodnich norm.

Tyle że te strzępy dialogu, dochodzące tym razem do uszu widzów w swej pełnej krasie, wypowiadane są jakoś tak bez emocji, bez uczucia, ironicznie i lekceważąco, jakby były fragmentami kawałów o babie i lekarzu opowiadanych przy suto zastawionym stole przez lekko już wstawionych biesiadników.

Rwane fragmenty dialogu przeplatają się z pociętymi, słabo zrozumiałymi fragmentami akcji. Rozumiem, że ma się to wszystko złożyć w „całość wrażenia artystycznego”, ale co mam zrobić, kiedy mi się nie składa? Dodaję od razu, że nie chodzi bynajmniej o to, iż chcę koniecznie wgrzyźć się w literacką materię teatralnego dzieła, wyciągnąć na siłę jej sens i przesłanie, aby się nimi intelektualnie napawać. Teatr czystej formy? Proszę bardzo, tylko po co tu się płaczą ze wstawki z Rzewuskiego? Po to tylko, by się nimi z ironią i wdziękiem pobawić i je porzucić? A co zrobić z ich aktualnością, która potrafi z nagła, „historycznie” wychynąć nawet z tych strzępów i wbić się we współczesne polskie uszy, jak na przykład kwestia Ludwika-„zapadnika”: „Na tej ziemi usycha każde ziarno refleksji”?

Przy „suto zastawionym”, a na scenie, w realnym oglądzie widza, przerażliwie pustym biesiadnym stole Radziwiłł (Roland Nowak) reprezentuje tradycję, polemizując lekkim tonem z „panem żurawcem” (że się odwołam do nieśmiertelnego *Wesela*), czyli Ludwikiem Strawińskim. Tradycja-dogmat idzie w tany, a zarazem śmiertelnie się mocuje z zawodnym rozumem.

Potem akcja przyspiesza: „mech” ze sceny z Ojcem rozłożony jest teraz wokół maszyny do pisania. Michał jest złapany zimą na drodze (tak mówi tekst), a potem rzeczywistość, dosłownie, „scenicznie” osaczony i do końca bohatersko osłania maszynę. (Czemu akurat jest ona w tej chwili aż tak cenna – nie mnie dociekać w obliczu tego mózgu wariata na scenie). Egzekucja dokonuje się na scenicznym „mchu”.

Czyli jednak motyw egzekucji Michała z dzieła Rzewuskiego jest tu jakoś odnotowany. Maria Magdalena Kozłowska (przedtem królewski Medyk, teraz po prostu Aktorka) fachowo snuje smętną kowalizę, Kasztelanowa tańczy.

Potem mamy scenę Ludwika z Księdzem, a przedtem rozlega się potężny grzmot. Wyznanie Ludwika: on pojmuję mistykę tej ziemi, ale nie może tutaj żyć. Ma chęć mocy, ale na jej uzewnętrznienie inni nie pozwolą. Tak krąży... Potem mamy przebranie się Ludwika za księdza i ucieczkę. Opowieść o dalszych dramatycznych wypadkach snuta jest przez śpiewającą pięknie i smętnie Aktorkę. Licealiści trochę się ożywiają, ale w nastroju sali dominuje śmiertelne znużenie – pierwszy akt trwa już prawie dwie godziny.

Przerwa. Uff, doczekaliśmy się. W ubikacji męskiej pada od czasu do czasu „mięso”, ale na ogół jest cizja. Ktoś wchodzi, słychać: „K...”, znowu ten ch...wy labirynt” – tak oto nowoprzybyły młodzieniec komentuje zawiłą nieco, jak na tego typu pomieszczenie, drogę do kabin. Cudownie, że wie, co to labirynt. A skoro wie, to całe jego wulgarne „mięso” to tylko szpan.

Na widowni komentuje nauczycielka: „Ciężkie, dla maturzystów to by się nadawało, ale ci są za młodzi”. Inna pani strofuje grupę chłopców, zdecydowanie nadaktywnych konwersacyjnych w czasie spektaklu: „Aktorzy skarżyli się, że im przeszkadza”.

Po przerwie na scenę pada biała poświata, obecni na niej są wszyscy dotychczasowi protagoniści. Ludwika dostrzegam dopiero po chwili – leży w wypełnionej wodą szczelinie na proscenium, paląc papierosa. Jest na zewnątrz, na uboczu. Znaczące.

Mógłbym jeszcze dość długo zanudzać PT Czytelników oraz Czytelniczki rwanym opisem tego, co dzieło się na scenie, sądzę jednak, że uzyskalicie Państwo dostatecznie pełny wgląd w tę próbkę „czystej formy” i że zamiast kontynuować powyższy opis, lepiej przejść do komentarza i oceny dzieła Tomasza Węgorzewskiego.

Otóż, po wyjściu z teatru dręczyły mnie następujące pytania i wątpliwości: jeśli wszystko jest wykpione, jeśli reżyser się wobec wszystkiego dystansuje, to co my mamy z tym zrobić? Przecież żyjemy tu i teraz, chcemy odnieść rzeczywistość sceniczną do naszej egzystencji, bo jesteśmy właśnie tu i teraz w teatralnej sali. A uczestnicząc jako widzowie w gnieźnieńskim *Listopadzie* możemy się tylko dystansować i ślizgać ironicznie po powierzchni.

Nic dziwnego, że dystans wobec treści i teatralnej materii demonstrowany na scenie spowodował dystans licealnej widowni wobec tejsze treści i materii. Na deskach Teatru im. Fredry mieliśmy bowiem demonstrację czystego eskapizmu, a morał był, moim zdaniem, taki: „Wszystko jest artystowska fantasmagoria, niczego nie trzeba rozjaśniać, wyjaśniać, dojaśniać, przyjaśniać, ba – o nic nie warto pytać. Daliśmy Wam oto, Drodzy Widzowie, ciąg pięknych, zmysłowych obrazów, snujących się po scenie dymy i też się snujące oraz gadające coś tam postaci, więc nie powinniście tu nic a nic myśleć, tylko chłonać czyste piękno dystansujące Was wobec wszystkiego, unicestwiającej wszelką racjonalność, wszelki dyskurs, spójny wywód, spójną ontologię i logikę. Coś tam o Polsce i Polakach Wam od czasu do czasu rzucamy – mimochodem, przelotem, *en passant*, ale równie dobrze moglibyśmy Wam podrzucić ze sceny parę zdań o słońcach bądź Marsjanach (może tak by było nawet ciekawiej?)”.

Czyżby realizatorzy gnieźnieńskiego *Listopada* wzięli na poważnie pogląd, że „na tej ziemi usycha każde ziarno refleksji”?

Aż chce się krzyknąć w stronę sceny: „To my – konkretni ludzie, w konkretnej, historycznej, bardzo ważnej chwili, to my tu jesteśmy, siedzimy, doświadczamy waszych działań i ni cholery nie możemy ich ani zrozumieć, ani zaakceptować. Idą OBOK nas, są POZA nami, naszym życiem, naszymi euforiami i udrękami. Od czasu do czasu rzucacie nam jakiś ochłap tekstu, który chyba nas dość boleśnie dotyczy, a potem się nań wypinacie i udajecie, że nie o to chodzi, a poza tym wszystko jest piękną fikcją i grą formy. No to się bawcie, tylko nie miejcie potem pretensji do licealistów, że są znużeni i wam przeszkadzają. I że potem, po takich doświadczeniach, rezygnują z pójścia do teatru”.

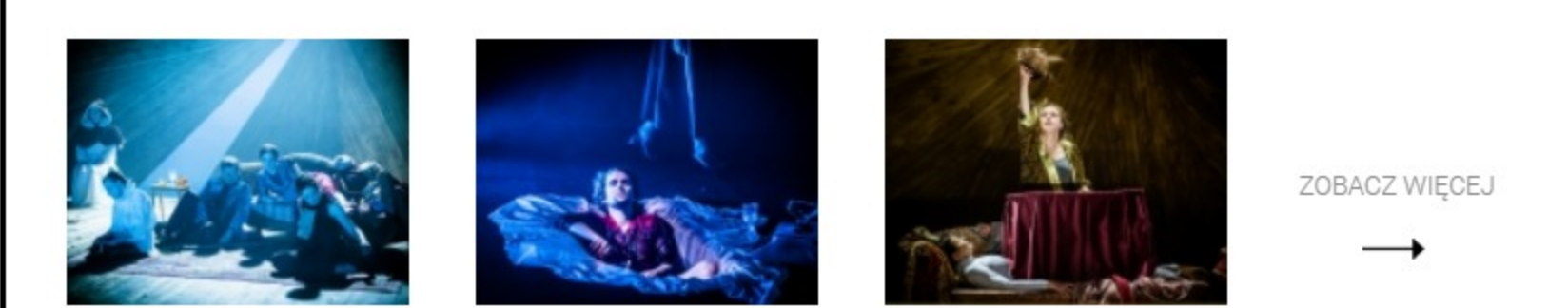
Po co realizatorom tej teatralnej, „czystoformalnej” wydmuszki potrzebny był romans historyczny Rzewuskiego, który (powtarzam) dotyka, momentami bardzo przenikliwie, kluczowej także dziś sprawy modernizacji naszego kraju? Ten włokący się niczym witkacowska „gówniarska kielbasa” przydługi zbiór scenicznych etiud opęda się od tekstu Rzewuskiego, traktuje go, spycha na margines nie wiadomo po co i dlaczego. Może warto by było postąpić odwrotnie, radykalnie i zdecydować się na „piękną, czystą formę” bez zawracania sobie głowy dawnym romansem i jego treścią? Bo przecież odnotowałem w tym spektaklu parę pięknych, czystoformalnych fragmentów, doskonale współgrających z opisanymi tu już pokrótce dźwiękami autorstwa Teoniki Rożynek. Może po prostu tędy powinna wieść artystyczna droga reżysera i zespołu jego współpracowników?

Licealiści! Tym razem byłem duchem z Wami, chociaż przeszkadzanie Bogu ducha winnym aktorom Wam na przyszłość stanowczo odradzam. O ile po tym wszystkim zaryzykujecie jeszcze kiedyś w życiu pójście do teatru.

11-10-2017

### GALERIA ZDJĘĆ

#### LISTOPAD. ROMANS HISTORYCZNY Z DRUGIEJ POŁOWY XVIII WIEKU, REŻ. TOMASZ WĘGORZEWSKI, TEATR IM. ALEKSANDRA FREDRY W GNIEZNE



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie  
Henryk Rzewuski  
*Listopad. Romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku*  
dramaturgia i scenariusz: Magda Kupryjanowicz  
reżyseria: Tomasz Węgorzewski  
scenografia i kostiumy: Marta Kułiga, Dorota Nawrot  
światła: Katarzyna Borkowska  
muzyka: Teonika Rożynek  
obsada: Maria Magdalena Kozłowska (gościnnie), Katarzyna Kalinowska, Michalina Rodak, Martyna Rozwadowska, Iwona Sapa, Joanna Żurawska-Federowicz (gościnnie), Bogdan Ferenc, Maciej Hązła, Wojciech Kalinowski, Karol Kubasiewicz (gościnnie), Roland Nowak (gościnnie), Wojciech Siedlecki, Leszek Wojtaszak  
premiera: 6.05.2017

TAGI: Henryk Rzewuski, Tomasz Węgorzewski, Gniezno, Teatr im. Aleksandra Fredry, [Udostępnij](#)

### SKOMENTUJ

Autor

Lub zaloguj się

Treść komentarza

**Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem**, wpisz wynik działania:  
siedem minus cztery jako liczbę:



### KOMENTARZE (1)



**Maria Selim** | 2017-11-20 09:26:44 ## Cytuj

Byłam na tym spektaklu, nic nie zrozumiałam. Doceniam grę aktorów. Byłam z grupy około 80 osób. Też nie wiedzieli o chodzi. Maria (lat 60, wykształcenie wyższe techniczne )